

Włóczykij na żelaznym torze

Od lat szczenięcych zakorzeniono we mnie bliżej nieprzejrzyisty imperatyw. Miałem otóż pałać niezyczliwością wobec środka lokomocji zwanego powszechnie koleją. Co prawda ta prująca niczym strzała dalekobieżna maszyna w zaciszu mych domowych pieleszy określana była pieszczotliwie mianem chyżego huncwota, jednakowoż wśród innych mieszkańców naszego odrażającego miasteczka, będącego dla mnie naonczas miejscem arcypięknym, funkcjonowała raczej jako „olaboga!” albo „antropomorficzna dżdżownica rychłej anihilacji”. Tak zresztą zwykł charakteryzować ją wciąż nietrzeźwy pseudoartysta, wracający serpentyną z szychty w faktorii klinkierówek. Wówczas nie dostrzegałem w owych nad wyraz niewspółmiernych określeniach żadnej sensownej kwintesencji, ale na dzień bieżący nie na żarty zapragnąłem wejrzeć w ich praźródło. Tym bardziej że nadarzył się ku temu asumpt szczególnie ważki. Wszystko za sprawą podróży do Kędzierzyna-Koźla, której niechybnego podjęcia zażądali ode mnie moi przełożeni. Przytaczając pokrótce niełube mi rozporządzenie, bez wahania założyli, iż niniejszym zobowiązuję się do bycia najspolegliwszym człowiekiem we wszechświecie. I tak oto trwam w przejażdżce tym spostonowanym ustrojstwem i wiercie mi na słowo, że nie jestem ani trochę ukontentowany. Ale cóż, mus to mus, a poza tym nie w smak byłaby mi sprokurowana nierozważnym sprzeciwem chryja. Obdarzony więc wątpliwą przyjemnością oglądania dłużących się w nieskończoność, monotonnych pejzaży, umościłem się z pięścią manifestacyjnie opartą pod brodą, niby to pogrążony w zadumie. Ciemniejące z każdą godziną chmury piętrzyły się chaotycznie jakby w zazdrości zamierzały dorównać morskim falom. Rządziły mym wzrokiem tak przemożnie, że niewpatrywanie się w ich rozwichrzone kształty w ogóle nie wchodziło w grę. Co gorzej, przełazący przez korytarz hałaśliwi pasażerowie prężyli się, by zakłócić mi drzemkę, w zamian za co odwdzięczałem się im spojrzeniem spode łba. Każdy, kto próbował wedrzeć się do mojego przedziału, konstatował rychło, że już nie chce popełnić tegoż błędu. Naraz drzwi rozsunęły się z łoskotem, ujawniając kędzierzawą makówkę zawiadującego tylnymi wagonami konduktora. Miałem już aranżować odgrzebywanie biletu, gdy mężczyzna wyłuszczył mi, że przyturlaliśmy się na pożądaną dworzec i nadszedł czas, bym opuścił tę lekceważoną skądinąd ciuchcię. Dlaczegoż zatem towarzyszyło mi wówczas to samo poczucie nostalgii, które czułem zawsze o brzasku, gramoląc się spod ugrzanej pierzyny?